



STYCZEŃ

1937

miesięcznik polityczny
Liberalno-Demokratycznej Partii
„Niepodległość”

Nr. 61

WARSZAWA

cena 90 zł

OŚWIADCZENIE "KULTURY"

TRAKTAT O KOMPROMISIE
O NIEZBEDNOŚCI UGODOWCÓW

DUCH WOLNOŚCI

PO DWÓCH LATACH NIEOBECNOŚCI

REALIZM PO POLSKU

FELIETON OBSERWATORA : PRZECIW TOLERANCJI

NOTATNIK ARKADYJSKI :

XIII. TĘPY APARATCZYK CZY SZCZWANY LIS ?

"O Ś W I A D C Z E N I E " K U L T U R Y "

przedruk: "KULTURA", Październik 1986, Paryż, Instytut Literacki, str. 3-4

1. Zwolnienie wszystkich więźniów politycznych musi budzić we wszystkich Polakach rach uczucie radości.

2. Zwolnienie to nie powinno jednak być traktowane jako akt łaski, za który należy być wdzięcznym władzy. Trzeba natomiast widzieć w nim zwycięstwo wszystkich tych sił, które w kraju i za granicą wywierały naciski w tym kierunku.

3. Władza PRL oczekuje teraz demontażu wszystkich struktur podziemnych oraz zaprzestanie wszelkiej działalności niezależnej: związkowej, politycznej i kulturalnej. Jesteśmy temu absolutnie przeciwni. Świeże oświadczenie TKK i Bujaka wskazują, że zajmują oni takie samo stanowisko.

4. Przyczyny, które zaprowadziły działaczy podziemia do więzienia nie przestały jak dotąd, istnieć. Władza nie wystąpiła nawet z żadnym programem reform instytucjonalnych, który czyniłby zadość postulatowi wysuwanyemu nieustannie od roku 1980.

5. Mglisty projekt stworzenia przy Radzie Państwa Rady Konsultacyjnej o nieokreślonym składzie i równie nieokreślonych uprawnieniach, nie może przesłonić faktu, że wszystkie ustawy represyjne wprowadzone po 13 grudnia 1981 nadal pozostają w mocy. W tym stanie rzeczy aktualne pozostaje domaganie się pluralizmu - w szczególności związkowego. Można bowiem przewidzieć, że o ile ten postulat nie zostanie spełniony liczba więźniów politycznych zacznie znowu szybko rosnąć. W związku z tym nie wolno ustawiać w żądaniu wprowadzenia statusu więźnia politycznego.

6. Rzeczą w najwyższym stopniu szkodliwą byłoby wycofanie się z obszarów niezależności, wywalczonych w ciągu minionych dziesięciu lat. Nie powinni o tym zapominać także działacze polityczni na emigracji; ich podstawowym obowiązkiem pozostaje nadal udzielanie pomocy i popieranie TKK "SOLIDARNOŚĆ" oraz wszystkich wartościowych inicjatyw niezależnych.

7. Ci zaś, którzy z rozmysłem rezygnują z działalności niezależnej na rzecz koncesjonowanej swobody pisania pod kontrolą cenzury osłabiają wolę oporu w społeczeństwie i zrywają solidarność z ludźmi, którzy opuszczają teraz więzienia.

8. Jak zwykle w momentach krytycznych, wybuchają spory, rozlegają się wzajemne oskarżenia, powstają rozmaite mafie, zaczyna dominować plotka, pojawiają się samowznaczeni przywódcy. Władze PRL podsycają to zjawisko, dążąc do destabilizacji ruchów niepodległościowych poprzez sianie zamentu. Potępiamy to kategorycznie. I nie cofniemy się w przyszłości przed publicznym napiętnowaniem konkretnych, znanych nam wypadków.

Redakcja

13 września 1986

.....

Ukazuje się od stycznia 1982 roku miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez GRUPE PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ". Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk pojedynczych artykułów dozwolony jest z podaniem źródła, całość po uprzednim porozumieniu z GP"N".

Prawami wydawniczymi za granicą dysponuje "INDEPENDENT POLISH AGENCY" Copyright outside Poland by "IPA", - Oststramartensgatan 1, Box 2113, 220 02 Lund, SWEDEN. Tam też można zamawiać nasze pismo.

K O M U N I K A T : Apelujemy o przekazywanie - poprzez kolportaż - wpłat i darów rzeczowych - farba, papier!!!, matryce na FUNDUSZ WYDAWNICZY "NIEPODLEGŁOŚCI".

W P Ł A T Y : Semen Petlura - 50, Bolesław Bierut - 5.

Grupa Pisma "NIEPODLEGŁOŚĆ"

T R A K T A T O K O M P R O M I S I E

I. UWAGI WSTĘPNE

Najczęściej chyba używany jesienią 1986 roku termin polityczny to k o m - p r o m i s. Stosowały go znaczące ugrupowania podziemne oraz różne, mniej lub bardziej znane osobistości niezależne. Natomiast komunistyczne władze nie mogły jakoś rozstać się z terminem jak i z koncepcją lansowanego od czasów stanu wojennego tzw. "porozumienia narodowego". I choć zdawałoby się, że "polubowne załatwienie sporu osiągnięte w drodze wzajemnych ustępstw" - tak właśnie określa kompromis Słownik Kopalińskiego /1/ - jest technicznym sposobem osiągnięcia porozumienia narodowego właśnie, sprawa ta nie jest jednak tak oczywista. "Uгода" czyli "odstępstwo od zasad dla praktycznych korzyści" - to także Kopaliński - co właśnie oferują zwolennicy kompromisu po stronie "społecznej" jest zupełnie czymś innym niż powoływanie funkcjonujących pod ścisłym nadzorem i kompletnie ubezwłasnowolnionych instytucji w rodzaju PRONu czy OPZZu, a tak właśnie porozumienie narodowe rozumieją komuniści.

Tego właśnie drobnego szczegółu zdają się nie dostrzegać niektórzy gorący zwolennicy kompromisu po naszej stronie, interpretując takie posunięcia władzy jak częściowa amnestia lub anemiczna liberalizacja polegająca na nieznacznym ograniczeniu represji jako "odstępstwo od zasad dla praktycznych korzyści". Choć może pogląd ten jest o tyle słuszny, że władzy rzeczywiście chodzi o praktyczne i wymierne korzyści. Tylko, że te korzyści, zdaniem władzy, powinny mieć barwę "zieloną"...

To, zasygnalizowane powyżej niezrozumienie intencji i motywów jakie przyświecają komunistycznej władzy przez rzeczników i teoretyków "trudnej sztuki kompromisu" po stronie "społecznej" - przykładem może być dyskusja panelowa w kościele NMP /2/ - wynika, naszym zdaniem, z braku politycznej refleksji nad treścią tego pojęcia. Brak ten aż uderzał także we wzmiankowanej powyżej dyskusji panelowej. Trudno bowiem za pogłębioną refleksję polityczną uznać wypowiedzi w rodzaju:

"Powiedzenie, że kompromis jest niemożliwy jest wewnętrznie łatwiejsze. Ale jest to powiedzenie nieprawdy, ponieważ każdy, kto pracuje w społecznej wspólnocie musi zawierać kompromis, także polityczny". /Marcin Król/.

"/.../ trzeba odbudować taką przestrzeń, w której dialog mógłby się toczyć, gdzie strony mogłyby się przynajmniej wysłuchać". /Wojciech Lamentowicz/

- czy kuriozalną odpowiedź na pytanie o szansę "na pluralizm w Polsce": "Taki pluralizm będziemy mieli, na jaki sobie zasłużymy". /Bronisław Geremek/ /3/

Tymczasem w obecnej sytuacji politycznej, zamiast efektownych bon motów przydałaby się spokojna, sine ira et studio przeprowadzona analiza co mianowicie tu i teraz dla obu stron konfliktu polskiego oznacza pojęcie kompromisu. Właśnie poniższy artykuł w zamierzeniach autora miałby być taką próbą.

II. FILOZOFIA KOMPROMISU.

Na początku zaznaczmy, że warunkiem koniecznym do tego, by można było myśleć o kompromisie jest istnienie stron - czyli co najmniej dwóch, różniących się indywidualnie politycznych, świadomych swoich celów i gotowych o realizację tych celów walczyć. Stwierdzenie powyższe tylko pozornie wydaje się banalne. Otóż, sytuacja w realnym socjalizmie z reguły jest taka, że istnieje tylko jedna strona - totalitarna władza komunistyczna. Wchodzący z nią w konflikt dysydenci nie są bowiem żadną stroną, nie reprezentują przecież żadnej liczącej się grupy społecznej. I oto, specyfiką Polski jest to, że nigdy - no może z wyjątkiem lat 1953-56 - nie została do końca stotalizowana. Jeśli nawet były okresy, w których komunistom nie przeciwstawiały się żadne zorganizowane grupy społeczne, w wyraźnym konflikcie z władzą znajdował się, silnie popierany przez społeczeństwo polski Kościół. Tym niemniej, najpóźniej po roku 1980 polskie społeczeństwo, a przynajmniej jego aktywna politycznie niemilcząca mniejszość, dobiło się własnej, a może nawet własnych, reprezentacji.

Dopiero w takiej sytuacji politycznej możliwe jest to, co Kopaliński definiuje jako kompromis, czyli ugoda polegająca na wzajemnych ustępstwach obu stron w celu osiągnięcia praktycznych korzyści i to przez obie strony takiego porozumienia. Uгода taka może mieć zgoła różny sens praktyczny i polityczny. W skrajnych przypadkach możemy mówić o:

1. Kompromisie "historycznym", w wyniku którego zawzięcie zwalczający się dotąd przeciwnicy wzajemnie akceptują swoje istnienie dochodząc do wniosku, że są sobie potrzebni, i w wyniku tak pomyślanej ugody stają się partnerami.

2. "Zgniłym" kompromisie, w trakcie którego przynajmniej jedna ze stron stara

się wymanewrować drugą, uzyskując, czy też licząc na uzyskanie w przyszłości, co najmniej jednostronnych korzyści, jeśli nie likwidację przeciwnika.

Niekiedy wreszcie, jako kompromis traktuje się także tzw. warunkową /honorową/ kapitulację, sprowadzającą się do rezygnacji przez jedną ze stron ze swoich celów a nawet ze swojego istnienia w zamian za pewne gwarancje - najczęściej fizycznego bezpieczeństwa - od strony drugiej. Naszym zdaniem, takie rozszerzenie pojęcia kompromisu, nawet jeśli uprawnione formalnie, bo mieszczące się w jego definicji, merytorycznie jest nieuzasadnione, zamazuje bowiem jego istotę. Rzecz w tym, że rezultat kompromisu - jeśli słowa mają coś znaczyć - musi być kompromisowy, tzn. nie może polegać na wymuszonej okolicznościami likwidacji jednej ze stron ugody. Dlatego też w dalszych rozważaniach wariantu "honorowej kapitulacji" rozpatrywać nie będziemy.

III. "TYPOLOGIA" KOMPROMISU

Celowe wydaje się, zanim rozważymy sensowność i możliwość całościowego kompromisu w obecnej sytuacji politycznej w Polsce, zastanowienie się nad realnością kompromisów cząstkowych, dotyczących poszczególnych płaszczyzn konfrontacji między władzą a politycznie określoną częścią społeczeństwa. Od razu zastrzegamy, że podział, który zaproponujemy poniżej jest operacją sztuczną, a w szczególności nie jest możliwe zawarcie kompromisu w jednej płaszczyźnie przy konfrontacji w innych. Tym niemniej, zaproponowany przez nas podział wydaje się być przydatny przynajmniej dla celów analizy różnych jego wariantów.

Uważamy, że w sytuacji politycznej istniejącej w Polsce jesienią 1986 roku rozważane powinny być następujące kompromisy cząstkowe:

1. Kompromis ideologiczny;
2. Kompromis polityczny;
3. Kompromis społeczny /obywatelski/;
4. Kompromis związkowy;
5. Kompromis ekonomiczny.

Rozpatrzmy je po kolei:

III.1. - K o m p r o m i s i d e o l o g i c z n y - czyli tolerowanie /od tolerancja/ ideologii i filozofii politycznej przeciwnika, a właściwie już partnera.

"Zgniły" kompromis ideologiczny sprowadza się do częściowych i chwilowych ustępstw na rzecz ideologii z założenia gorszych, z którymi nadal i ciągle będzie się prowadzić walkę, na razie środkami tylko politycznymi z możliwością wszakże, o ile sytuacja będzie tego wymagać, zastosowania środków policyjnych. Ta wersja kompromisu - chwiejnej równowagi między raczej przeciwnikami niż partnerami - wymaga ciągłego nacisku i ciągłej obrony, lepiej lub gorzej funkcjonującej ugody. W naszej, polskiej rzeczywistości funkcjonujący z pewnym powodzeniem w stosunkach między państwem a Kościołem, kompromis taki musiałby zostać poszerzony o próbę znalezienia jakiegos, choćby chwilowego modus vivendi z pluralistycznym i antykomunistycznym /przynajmniej strukturalnie/ społeczeństwem.

Ideologiczny kompromis "historyczny", natomiast, to rezygnacja z wszelkich ciągłot totalitarnych, to uznanie pluralizmu światopoglądowego za wartość fundamentalną, nie podlegającą dyskusji, to wreszcie zaakceptowanie ideowej różnorodności społeczeństwa przez stronę monopolizującą dotychczas idee. W naszej obecnej sytuacji oznaczałoby to, po pierwsze, ideologiczną neutralność państwa, po wtóre zaś, formalne i faktyczne równouprawnienie różnych ideologii.

III.2. - K o m p r o m i s p o l i t y c z n y - czyli porozumienie między narzuconą z zewnątrz władzą a społeczeństwem co do zasad, zakresu i sposobu sprawowania władzy, oraz co do trybu jej powoływania, przekazywania oraz odwoływania.

"Zgniły" kompromis polityczny polegałby na wykreowaniu mechanizmów teoretycznie umożliwiających jakiś udział społeczeństwa w sprawowaniu władzy i w kontroli nad nią, w praktyce jednak skierowujących energię społeczną na ślepy tor. W perrelowskiej rzeczywistości byłyby to pomysły w rodzaju: - grupki w niejasny sposób powoływanych posłów w sejmie i to niezależnie od ilości /4 czy 44/; - rad przy Radzie /państwa, sejmie, PRONie, KOKu, czy czymś podobnym, których członkowie, nota bene, powoływani byłiby w sposób całkowicie niejasny, w trakcie jakichś zakulisowych machinacji.

Polityczny kompromis "historyczny" w realnym socjalizmie także jest nie do pomyslenia. Z jednej strony mogłoby to być jakieś rozwiązanie nawiązujące do XIX-wiecznego "kurialnego" systemu wyborczego /4/, z drugiej w grę wchodziłaby także wyłoniona w autentycznych wyborach II Izba Sejmu o kompetencjach zbliżonych do

tradycyjnych uprawnień Senatu. Kompromis taki, trzeba to koniecznie zaznaczyć, tylko wtedy byłby autentyczny gdyby w jego wyniku dochodziło do faktycznych a nie inscenizowanych wyborów i tylko w takim przypadku miałyby jakikolwiek sens.

III.3. - K o m p r o m i s s p o ł e c z n y /obywatelski/ - czyli zaakceptowanie przez władzę podmiotowości zarówno każdego pojedynczego obywatela jak i poszczególnych istniejących w społeczeństwie grup obywatelskich jak i wreszcie całego społeczeństwa.

"Zginiły" kompromis społeczny to powoływanie przez władzę fasadowych instytucji pozorujących społeczną aktywność. Obecnie byłyby to pomysły na miarę PRONu czy innego FJNu, rzecznika praw obywatelskich, czy stowarzyszeń bez mrugnięcia okiem, rozwiązywanych wedle potrzeby przez Prezydenta miasta Stołecznego Warszawy.

Społeczny kompromis "historyczny" to uznanie praw Człowieka i Obywatela za niezbywalne. Uznanie oczywiście nie na papierze a poprzez stosowanie mechanizmów umożliwiających ich realizację. To także zaakceptowanie wszelkiej niezależnej działalności różnych ugrupowań obywatelskich bez uprzedniego zezwolenia. Oznacza on praktyczną likwidację onnipotencji państwa, oznacza przyjęcie za fundament organizacji społeczeństwa tzw. "zasady pomocniczości" /5/. W naszej, polskiej sytuacji oznacza to dopuszczenie do samoorganizacji społeczeństwa przynajmniej w sprawach społecznych i niepolitycznych.

III.4. - K o m p r o m i s z w i ą z k o w y - czyli faktyczne zrealizowanie, wynikającego z Konwencji MOP, prawa do wolności związkowych, przede wszystkim do organizowania /lub nieorganizowania/ związków zawodowych bez konieczności akceptacji tego faktu przez państwo lub pracodawcę.

Na marginesie dodajmy, że w państwie normalnym kompromis ten mieści się w powyżej omawianym /społecznym/, jednakże w realsocjalizmie ma on tak wyraźny wymiar polityczny, że uznaliśmy za wskazane wydzielić go w osobny punkt.

"Zginiły" kompromis związkowy to, zgodnie z punktem III.3., tworzenie fasadowych, pseudoniezależnych /to znaczy niezależnych od swych członków a zależnych od partii/ organizacji udających dobrowolne i samorządne zrzeszenia pracownicze. To, tu i teraz, "wronie" związki, nawet gdyby Miodowicz nie zasiadał w KC, i nawet gdyby nie uzyskały prawem kaduka tytułu do reprezentowania wszystkich pracowników - nawet takich, którzy nie chcą nawet słyszeć o przynależności do takiego związku.

Związkowy kompromis "historyczny" to natomiast pluralizm związkowy, to wolny wybór formy organizacyjnej, to niezależność od tzw. czynnika politycznego, to swobodny wybór reprezentacji pracowniczej. No, może z pewnymi, wynikającymi z kompromisu, ograniczeniami w prawie do strajku czy w rozwoju organizacji na szczeblach ponadzakładowych.

III.5. K o m p r o m i s e k o n o m i c z n y - czyli dopuszczenie do grupowej, lub indywidualnej działalności gospodarczej bez zbędnych ograniczeń "ideologicznych" i biurokratycznych.

"Zginiły" kompromis ekonomiczny to zgoda na niezależną działalność gospodarczą, wszelako chwilowa, udzielana z intencją odwołania jej w stosownym momencie, a także zagarnięcia efektów, legalnej przecież, działalności. To, w peerelowskim realsocjalizmie wszelkie "zielone światła" dla rolników, rzemiosła, usług, budownictwa, drobnego handlu, to zapisy w konstytucji o trwałości sektora indywidualnego, to reforma gospodarcza a la Jaruzelski oparta o zasadę trzech "P" /6/.

Kompromis "historyczny" w ekonomii to rzeczywiste równouprawnienie wszystkich sektorów gospodarczych, a w chwili obecnej to reforma wprowadzająca w gospodarke mechanizmy rynkowe, to wreszcie samorządowy model sektora "uspołecznionego" czyli państwowego.

IV. UWARUNKOWANIA KOMPROMISU

Od razu wypada zauważyć, że dążenia obu potencjalnych stron postulowanego porozumienia są przeciwstawne. Wprawdzie, tu i teraz, zarówno władza jak i rzecznicy ugody po stronie społeczeństwa dążą do kompromisu. Tylko, że władza do "zgniłego". Cały kompleks podjętych przez nią działań, w sferze rozwiązań instytucjonalnych w gospodarce, w życiu społecznym, w polityce układa się wg. schematu - - ustępować tak, żeby w niczym nie ustąpić. Inaczej ma się rzecz z ugodowymi "reprezentantami" społeczeństwa. Ci ostatni dążą do kompromisu rzeczywistego, takiego, który ich zdaniem zapewni Polsce pokój społeczny i umożliwi odbudowę gospodarczą kraju. Zanim zastanowimy się nad realnością tak pomyślanego kompromisu, wypada zwrócić uwagę, że istnieje pewien uniwersalny warunek bez spełnienia którego o jakiegokolwiek ugodzie nawet nie ma co marzyć. Ten warunek to r z ą d y p r a -

w a . Oczywiście prawa w rozumieniu kultury łacińskiej, a nie jakiejś realsocjalistycznej nowomowy. Tylko bowiem wtedy, kiedy między zawierającymi kompromis stronami istnieje niezależny arbiter - prawo, można liczyć na funkcjonowanie ugody. Dowodzą tego liczne przykłady, choćby XIX-wiecznych Anglii, Austrii i Prus. Jeśli jednak gwarantem kompromisu ma być tylko dobra wola którejś ze stron, to zwykle skończy się ona wtedy, gdy ugoda przestanie być dla tej strony wygodna lub niezbędna.

Dla porządku, zaznaczymy jeszcze, że komunistyczne bezprawie ma dwa wymiary. Jeden wymiar, to że się tak wyrazimy, bezprawne prawo. To chociażby te wszystkie wypichcone przez wojenny sejm ustawy: te o KOKu, o Ministrze Spraw Wewnętrznych, o policji, o Szkolnictwie Wyższym, o Związkach Zawodowych, o Samorządzie terytorialnym, o ordynacji wyborczej; o zmianach w prawie karnym już nawet nie wspominając. Drugi zaś, to bezprawie w stosowaniu prawa. To sędzia Zieniuk i generał-prezydent Dębicki /7/ z jednej strony i te wszystkie przypadki łamania prawa wtedy, kiedy jest to władzy wygodne, lub ich błyskawiczna nowelizacja, z drugiej.

V. TECHNIKA KOMPROMISU

Biorąc pod uwagę, wszystko co napisaliśmy powyżej, przed "społecznymi" zwolennikami kompromisu rysują się dwie drogi:

V.1. R e w o l u c y j n a - polegająca na skoncentrowaniu się na reformie, której celem byłoby przekształcenie peerelu w państwo praworządne.

Drogę tę nazywamy rewolucyjną, prowadziłyby bowiem do gwałtownej zmiany formy państwa z totalitarnej w co najmniej autorytarną. Byłaby to więc faktyczna rewolucja. W jej wyniku zaistniałyby bowiem niezależne podmioty, jeśli nie w polityce, to przynajmniej w innych obszarach życia społecznego. Otóż, naszym zdaniem, prawdopodobieństwo takiej przemiany charakteru państwa w obecnej sytuacji jest równa zeru. W tej kwestii panuje w polskiej opozycji pełna zgodność poglądów, nie proponuje tej drogi żaden z nawet najbardziej zdeterminowanych zwolenników ugody.

V.2. E w o l u c y j n a - w której węższej lub szerszej pomysłany kompromis stałby się zaczynem stopniowej zmiany charakteru państwa w kierunku jego powolnego uspołecznienia. Elementy takiej ugody, czyli uodmiotowienia zarówno poszczególnych obywateli jak i całego społeczeństwa, staraliśmy się zarysować /rozd.III/. Jednakże chcielibyśmy od razu zaznaczyć, że zawarcie kompromisu, który dawałby nadzieję na stopniową ewolucję systemu we właściwym kierunku, napotyka na dwa rodzaje przeszkód:

- kompromis "wąski", np. w jednej z wymienionych dziedzin, choćby w gospodarce, gdzie wydaje się wielu zdeklarowanym zwolennikom ugody najbardziej prawdopodobny, będzie bodźcem n i e d ó s t a t e c z n y m , by rozpoczęły się ewolucyjne zmiany systemu w pożądanym kierunku. Po prostu nie da się zrealizować ponieważ porozumienie zawarte w jego wyniku okaże się sprzeczne z logiką systemu;

- kompromis "szeroki", nawet jeśliby został zawarty, co mało prawdopodobne, także znajdzie się w konflikcie z systemem, tylko że w skali generalnej, co w konsekwencji zagrozi władzom rewolucyjnymi zmianami w charakterze państwa.

Wydaje się właśnie, że obawy przed rozwojem sytuacji w opisany wyżej sposób powodują, że władza nie jest, ani nie będzie skłonna do ponoszenia takiego ryzyka.

VI. SZANSE KOMPROMISU

Jak dowodzi choćby wieloletnie doświadczenie, cele władzy komunistycznej i cele ugrupowań ugodowych nie są zbieżne. Komunistom zależy na takim porozumieniu narodowym, w wyniku którego nie tylko nie poczyniliby żadnych ustępstw, ale uzyskali by jakieś korzyści, na przykład dobrze sprzedaliby je na Zachodzie. Ugodowym ugrupowaniom opozycyjnym zależy na porozumieniu, w wyniku którego rozpoczęłyby się ewolucyjne zmiany systemowe. Niechby powolne, niechby częściowe, niechby niezinstytucjonalizowane, niechby pod komunistyczną kontrolą, ale niechby się rozpoczęły!

Wydaje się, że w toczącej się obecnie grze o kształt kompromisu władza ma jednak znacznie więcej atutów. Podstawowym z nich jest czas. Władza po prostu może czekać. Sytuacja gospodarcza nie jest jeszcze aż tak zła, by poważnie zagrażała przetrwaniu rządu Jaruzelskiego. Polacy nie są jeszcze tak zdesperowani, by zechcieli się zbuntować. Zwłaszcza, że stosowana przez Generała taktyka przeczekiwania społecznego oporu przyniosła mu tak wiele sukcesów, że na pewno nie zostanie poniekana.

Tym, których nie przekonałoby dotychczas proponujemy pewien eksperyment myślowy. Otóż proszę pomyśleć jakie konsekwencje dla władzy przyniosłoby uczciwy kompromis "historyczny" na którymś z wymienionych już przez nas obszarów. Zawsze będą to konsekwencje jak najfatalniejsze.

Tym niemniej, nie twierdzimy wcale, że władze nie dadzą się skłonić do kompromisu. Otóż dadzą, ale do takiego, który społeczeństwu wyjdzie bokiem. Czyli do kompromisu "zgniłego", a więc takiego, po którym, same niewiele ryzykując, ~~spodziewa~~ją się wiele zyskać. Choćby kompromitację "społecznych" kontrahentów takiej umowy. "Wmanewrowaniu" strony społecznej w taki właśnie kompromis służy całe postępowanie władzy, a zwłaszcza jej propaganda. Stąd właśnie te oświadczenia, że nieważne skąd kto przychodzi, byle budował socjalistyczną Polskę; stąd warunki stawiane Wałęsie, by odciął się od bardziej radykalnych kolegów; stąd wreszcie pomysły z Radą przy Radzie /Państwu/, gdzie skompromituje się parę znanych i poważanych w społeczeństwie osobistości.

VIII. KONKLUZJE

Scena polityczna w jesieni 1986 roku w Polsce charakteryzuje się:

1. Występowaniem z otwartą przyłbicą znaczących ugrupowań niezależnych, dążących do ~~kompromisu z władzami~~;
2. Pragnieniem represji i sygnalizowaniem skłonności do jakiejś ugody po stronie komunistów;
3. Wyczekiwaniem państw Zachodu, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, na rezultaty "politycznego otwarcia" w peerelu bez wynagradzania komunistów za same deklaracje słowne.

Stale elementy sytuacji politycznej w Polsce, a zwłaszcza charakter i tradycje komunistyczne władzy powodują, że:

4. Kompromis generalny między władzą a ugodową częścią społeczeństwa mogący wywołać ewolucję systemu w pożądanym kierunku jest mało realny;
5. Kompromis cząstkowy, choćby w ekonomii, nawet jeśli udałoby się go zawrzeć, co jest wątpliwe, raczej zostanie zaakomodowany przez system niż przyczyni się do jego ewolucji;
6. Ugoda z władzą, zawarta na jej warunkach, doprowadzi do kompromitacji osobistości, ugodę tę firmujących.

W świetle wszystkich powyższych rozważań uprawniona wydaje się być konkluzja, że:

7. Satysfakcjonujący, choć w części, społeczeństwo kompromis z władzami w nowej sytuacji politycznej zaistniałej w Polsce na jesieni 1986 roku jest tak samo nieprawdopodobny jak dotychczas.

Artur WIECZYŃSKI

- /1/ Władysław Kopaliński "SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH I ZWROTÓW OBCOJĘZYCZNYCH", "WIEDZA Powszechna", Warszawa 1967, str. 394.
- /2/ "TRUDNA SZTUKA KOMPROMISU", "TM", nr 184 z 15.X.1986 r, str. 1-4
- /3/ KOMENTARZ NAJBARDZIEJ ZAŁADNEGO CZŁONKA REDAKCJI

Gdyby wypowiedź Bronisława Geremka potraktować poważnie, można by powiedzieć, że mamy do czynienia z manifestacją romantyzmu w polityce w formie skrajnej. Furda warunki zewnętrzne, furda sytuacja polityczna, furda kondycja naszych przeciwników - wszystko od nas zależy, mierzymy siły na zamiary, a osiągniemy wszystko co zamierzemy. Jeśli zaś czegoś nie mamy - np. niepodległości, demokracji, sensownej gospodarki - to nasza wina, mamy bowiem to na co zasłużyliśmy...

Rzecz jednak w tym, że wypowiedź Geremka nie jest deklaracją polityka a sentencją intelektualisty, któremu udał się zgrabny bon mot. A, że raczej fałszujący rzeźwistość? No cóż, nasz intelektualista, albo tego nie zauważa, albo tym się nie przejmuje, zgodnie ze starym, dobrym powiedzeniem: *se non e vero e bon trovato*, co po polsku znaczy: Jeśli nie jest prawdziwe, to dobrze powiedziane.

Ali GATOR

- /4/ na przykład kuria sekretarzy wojewódzkich i członków KC posiadałaby połowę mandatów w Sejmie, kuria partyjna - jedną czwartą, a pozostałe kuria bezpartyjnych /też jedną czwartą, zresztą/.
- /5/ czyli rugowania państwa z dziedzin, w których obywatele są w stanie sami sobie poradzić.
- /6/ pseudosamorządności, pseudosamodzielności i pseudosamofinansowania.
- /7/ rozwiązujący bez mrugnienia okiem kolejne stowarzyszenia.

"O NIEZBĘDNOŚCI UGODOWCÓW" - GŁOSA DO TRAKTATU O KOMPROMISIE

Bezpośrednio po podjęciu przez komunistów otwartej wojny ze społeczeństwem polskim, a także jakiś czas potem, nasz stosunek do koncepcji ugody z władzami był w pełni jednoznaczny.

Po pierwsze - ugodę taką odrzucaliśmy. Z powodów zarówno pryncypialnych - "Przyjmujemy za punkt wyjścia, że w cywilizowanych państwach pod koniec XX w. nie powinna występować instytucja "pojednania" Narodu z Władzą - a porozumienie dotyczyć może jedynie terminu przekazania przez dyktatorów władzy legalnie wybranemu rządowi" /"ZASOŻENIA PROGRAMOWE"/ - jak i racjonalnych - skłonienie komunistów do porozumienia uważaliśmy zawsze za nierealne i szkodliwe, bo osłabiające determinację oporu.

Po drugie - różnym niezależnym zwolennikom ugody odmawialiśmy prawa do jej zawierania uważając, że z takimi koncepcjami przyczyniają się do demontażu spontanicznie powstałego podziemia.

Sami natomiast postulowaliśmy zdyscyplinowanie i zinstytucjonalizowanie podziemia w strukturach alternatywnych wobec komunistycznego państwa. Obecnie upieranie się przy powyżej zarysowanej "strategii" byłoby dowodem politycznego skostnienia. Zmieniona sytuacja wymaga nowego, bardziej zróżnicowanego podejścia, przede wszystkim do problemu ugody.

Od razu pragniemy mocno podkreślić: Odrzucamy ją nadal. Z podanych wyżej - pryncypialnych i racjonalnych - powodów. Inaczej jednak ustosunkowujemy się obecnie do ugodowców.

Po pierwsze - uważamy, że dziś w pełni są uprawnieni do występowania z takimi koncepcjami. Pod jednym wszakże warunkiem, że czynią to wyłącznie we własnym imieniu i na własny rachunek, nie zaś w imieniu i na rachunek społeczeństwa polskiego. Słowem, że nie wmawiają Polsce i Światu, że reprezentują cały naród polski.

Po drugie - bezkompromisowe polemiki zwolenników ugody z jej radykalnymi krytykami odciążałyby tylko komunistów ukatwiając im politykę dzieł i rządów, kompromitując opozycję w oczach opinii publicznej oraz naszych sympatyków na Zachodzie.

Po trzecie - polityka ugodowa może się okazać w pewnym stopniu korzystna także dla nas radykałów. Wszakże pod warunkiem, że ugodowcy okażą charakter, tzn. że nie dadzą się wmanewrować komunistom w grubymi nićmi szyte oszustwo. Polityka ugodowa może, choć oczywiście nie musi, doprowadzić do poszerzenia społecznego oporu na obszary, na których dotąd się nie pojawiał. Chodzi nam tutaj o sferę działań legalnych. W takim przypadku, niewykluczone, że w ostatecznym rachunku komuniści więcej stracą niż zyskają.

Nota bene: nawet jeśli ugodowcy przegrają rozgrywkę o porozumienie, może to być dla nas - radykałów o tyle korzystne, że uwiarygodnią się, jakby przy okazji, koncepcje nieporozumiewania się z komunistami.

Trzeba wszakże zwrócić uwagę, że taki przebieg wydarzeń zależy także od zachowania się ugrupowań radykalnych. Poprzez swoje istnienie i poprzez swoją działalność, przede wszystkim publicystyczną, ugrupowania te powinny nie dopuścić do oszukańczej ugody. Wszelkie koncepcje ugodowe powinny być więc wnikliwie analizowane, wszystkie tkwiące w nich niejasności i niespójności wyciągane na światło dzienne, wszelkie sprzeczności wykrywane. Powinna jednak być to dyskusja, wymiana poglądów, nie zaś filipiki i ciskanie gromów. Powinna być to dyskusja świadcząca o rzeczywistym politycznym i ideowym pluralizmie polskiego społeczeństwa.

Gniewosz PLAMISTY

"O NIEZBĘDNOŚCI RADYKAŁÓW" - GŁOSA DO TRAKTATU O KOMPROMISIE

Paranoiczna reakcja peerełowskich komunistów - zwolenników i "strategów" tzw. "porozumienia narodowego" - na polityczne inicjatywy środowisk ugodowych, takich jak powołanie Tymczasowej Rady NSZZ "Solidarność" działającej jawnie, czy też "OSWIADCZENIE" dziewięciu w sprawie amerykańskich sankcji, przejawiające się choćby w określaniu działaczy działania te firmujących jako posiadających czarne podniebienie politycznych i społecznych reakcjonistów, spotęgowana jeszcze satyryczną węgą i prywatnym urokiem pana Rzecznika, wygląda na pierwszy rzut oka kompletnie irracjonalnie. Bo przecież władza, uczyniwszy ruch w kierunku kompromisu, w odpowiedzi na ruch strony przeciwnej zaczyna odgrywać pierwszą naiwną.

Tak jest jednak tylko z pozoru. Rzecz w tym, że pojawienie się na arenie politycznej przedstawicieli polskiego społeczeństwa /nieważne, że tylko jego ugodowej części/ stwarza dla komunistów konkretne zagrożenia. Oto bowiem, społeczeństwo wyłoniwszy swoich reprezentantów i zorganizowawszy się, stanie się w kontaktach z władzą stroną. Taka wizja spędza przecież czerwonym sen z powiek. I nawet trudno im się dziwić. Oni to już przecież brali... Dlatego żadnych argumentów w rodzaju, że organizacja społeczeństwa leży także w ich interesie, słuchać nie chcą i nie

będa.

Inny natomiast argument do nich dotrze. Gdyby okazało się, że istnieją siły społeczne stanowiące dla peerelowskiej władzy większe zagrożenie. Rzecz w tym, że takie siły potencjalnie istnieją. Zagrożeniem tym są ci, którzy odrzucają porozumienie z władzą, którzy dążą do demontażu realnego socjalizmu, którzy kwestionują sojusz ze Związkiem Sowieckim - czyli radykalna opozycja niepodległościowa. Dopiero istnienie takiej opozycji daje ugrupowaniom ugodowym jakąś szansę na kompromis - ustawia ich bowiem w korzystnej pozycji, pozycji mniejszego zła. Że zaś Generał jest specem od wyboru mniejszego zła...

Kwestionując istnienie opozycji niepodległościowej - jak to uczynił ostatnio Jacek Kuron w wywiadzie dla "BAZY" /nr 9-35, wrzesień 1986, str. 7/ mówiąc: "Bo przecież nic co by nas wiodło wprost do niepodległości nie umiecie zaproponować. W świetle tego faktu mówienie części opozycji o sobie "niepodległościowcy" jest nadużyciem" - czy też zapewniając - jak to czyni Wałęsa - że wszyscy Polacy pragną socjalizmu, umiarkowani politycy nie tylko mistyfikują rzeczywistość, popełniają także błąd polityczny pozbywając się jednego, jedyne atutu jakim w grze o kompromis dysponują.

Próby zamazywania istniejących w polskiej opozycji podziałów, czy to na linii lewica-prawica, czy to ugoda - jej odrzucanie; przykładem takich praktyk jest choćby wspomniany wyżej wywiad Kuronia; po pierwsze się nie powiodą - nurty prawicowy i radykalnie niepodległościowy /nietożsame ze sobą/ już się wykryształizowały; po wtóre zaszkodzą przede wszystkim zwolennikom ugody - nieortodoksyjne działania tych ugrupowań obciążą bowiem konto tych właśnie ugrupowań ugodowych, które jeszcze dziś starają się utrzymać monopol na reprezentowanie społeczeństwa polskiego.

Armand CZARNOPODNIĘBIĘCZYK

DUCH WOLNOŚCI

"Pogoń skończyła się. Uciekinier wyszedł z krzaków. "Poddaję się, nie strzelajcie! Nie mam przy sobie broni". Prześladowca podszedł całkiem blisko, sprawnie podrzucił automat i wpakował trzy kule w żywy cel. Rozległy się jeszcze dwie serie - to do dwóch pozostałych uciekinierów, którzy jak się wydawało również zostali rozstrzelani. Ciało wyniesiono na szosę. Owczarki zlizywały krew. Jak zawsze, ofiary przywieszono i rzucono koło bramy na postrach innym. Nagle dwa trupy poruszyły się: ci ludzie żyli. A że świadków dookoła było zbyt wielu, już nie można było strzelać.

To nie jest początek detektywistycznej opowieści. To nie jest ucieczka z Buchenwaldu albo z Kołomy. Stało się to we wrześniu 1956 r., już po potępieniu kultu jednostki przez XX Zjazd, gdy krytyka stalinowskich zbrodni została puszczone w ruch pełną parą. To co tu napisałem może potwierdzić Algidas Petrusiawiczus, znajdujący się w obozie nr 11 w Mordwinii. Tylko on jeden ocalał. Dwaj pozostali - Lorentas i Jursza - zginęli. Wypadki tego rodzaju były na porządku dziennym". /"UKRAINA 1956-1968", opracował Iwan Koszeliwec, Wyd. "SŁOWO", 1986 r./

O historii i bieżących problemach narodu ukraińskiego Polacy niewiele wiedzą. Ot trochę, tyle co przekazały tendencyjnie napisane podręczniki historii dla szkół średnich, nieco więcej na wykładach tego przedmiotu w szkołach wyższych. Przeważnie jest to wiedza jednostronna, składająca się w niewielkim tylko stopniu z rzeczywistej faktografii, natomiast w olbrzymim - z aktualnie obowiązujących propagandowych schematów. Trochę możemy się dowiedzieć o kształtowaniu świadomości narodowej mieszkańców terenów nadnieprzańskich, obszerniej o walkach Kozaków pod wodzą Chmielnickiego z państwem polskim, a już zupełnie fragmentarycznie o losach tego narodu po wybuchu pierwszej wojny światowej i o zagarnięciu Ukrainy przez Związek Radziecki. Od tego momentu oficjalna historia o Ukrainie milczy, wyjąwszy napaść Rosji Sowieckiej na Polskę 17 września 1939 r. i "przyłączenie" Małopolski Wschodniej do ZSRR, co przedstawiane jest jako akt sprawiedliwości dziejowej tj. uwolnienie "zachodniej Ukrainy" z jarzma imperialistycznej Polski.

O stosunkach polsko-ukraińskich pisaliśmy obszernie już wiele razy. Nie były one w przeszłości najlepsze. Rzeczypospolita Obojga Narodów oficjalnie składała się z narodu polskiego i litewskiego. Oba te narody posiadały równe prawa i dzięki temu mogły się bezkonfliktowo rozwijać. Od czasów Księcia Witolda aż po wiek XX historia nie zanotowała żadnych antypolskich powstań litewskich, buntów czy rzezi. Płonęły natomiast tereny nad Dnieprem i Donem - Dzikie Pola były widownią krwawych rozpraw

i pacyfikacji. Gdyby Polska czasów Jagiellonów i królów elekcyjnych przekształciła się w Rzeczypospolitą Trojga Narodów - przyjmując do wiadomości fakt powolnego zarysowywania się świadomości narodowej Ukrainy - losy tej części Europy potoczyły by się zupełnie inaczej. Niestety tak się nie stało, co przyniosło dalekosiężne skutki polityczne, szczególnie mocno odczuwane w dwudziestoleciu powojennym i w czasie II wojny światowej.

Dzisiaj wielu Polaków, mówiąc o Ukrainie, nie pamięta o uwarunkowaniach i faktach historycznych, lecz widzi ten problem jedynie w perspektywie pogromu ludności polskiej na Wołyniu i Podolu przez oddziały ukraińskie w czasie okupacji hitlerowskiej i płonące Bieszczady po II wojnie światowej. Nic w tym dziwnego, zwłaszcza, że propaganda komunistyczna po obydwu stronach granicy dokłada wszelkich starań, aby obraz skłóconych narodów podtrzymać nadal, nie dopuszczając do najmniejszego nawet zbliżenia naszych narodów. Motyw tej działalności jest zupełnie prosty. Każde autentyczne porozumienie narodów zniewolonych przez ZSRR jest dla kolonizatorów niezwykle groźne, gdyż utrzymać je w ryzach ^{można} tylko osobno. Zjednoczone, stanowią potężną polityczną siłę, zagrożającą istnieniu imperium rosyjskiego w Europie. Z tego samego przecież względu Stalin nie dopuścił do porozumienia i zawarcia ścisłego sojuszu między Polską i Czechosłowacją w 1941 r., a także do zrealizowania późniejszych, już powojennych, koncepcji federacyjnych w Europie Środkowej.

Polacy o współczesnej Ukrainie niewiele wiedzą, bo wiedzieć nie mogą. Okres legalnego istnienia "S" też nie za wiele wniósł do sprawy. Wprowadzono wydano parę książek i napisano trochę artykułów, ale to była kropla w morzu potrzeb.

Jak pisze we wstępie do "Ukrainy" Józef Łobodowski, zarówno Polacy jak i Ukraińcy nie są w stanie zmienić geografii i faktu, że naród ukraiński był i pozostanie sąsiadem Polaków. Sąsiedztwo zmusza obydwie strony do działań na rzecz normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Proces ten musi odbywać się w bardzo utrudnionych warunkach, gdyż i naród polski i naród ukraiński nie stanowią o sobie. Proces ten musi więc przebiegać wbrew oficjalnej polityce obozu sowieckiego, który uważa że sprawa jest raz na zawsze załatwiona, gdyż oba narody znalazły się w komunistycznym worku. Polacy muszą pamiętać również o tym, że położenie narodowe Ukraińców jest znacznie gorsze niż Polaków. Formalnie istniejąca Ukraińska Republika Radziecka, mająca nawet swe przedstawicielstwo w Narodach Zjednoczonych, jest najbardziej rusyfikowaną wśród republik wchodzących w skład ZSRR, pozbawioną całkowicie autonomii kulturalnej, prawa do własnego języka i swobodnej ukraińskiej myśli.

Zmiany terytorialne dokonane po II wojnie światowej spowodowały, że Polska - kraj koalicji antyhitlerowskiej - jako jedyna straciła sporą część przedwojennego terytorium. Nawet nabytki na Zachodzie nie zrekompensowały tego ubytku. Ziemie wschodnie, które od wieków zrosły się z Rzeczypospolitą, a w czasie zborów należały nie do Rosji lecz do Austrii, po Jałcie znalazły się w granicach ZSRR. Fakt, ten jest dla nas Polaków na pewno bolesny, ale już chyba nieodwracalny. Pod jednym warunkiem, że Ukraina od Bugu aż daleko poza Kijów będzie państwem niezależnym, decydującym o swoim losie. Ktoś może nam zarzucić, że kupczymy ziemiami bezprawnie nam odebranymi, ziemiami na których przez wieki mieszkali Polacy, ziemiami, w których znajduje się wiele milionów polskich grobów i pozostałości polskiej kultury narodowej. Rzecz w tym jednak, że naszym zdaniem postępowanie takie leży w dobrze pojętym polskim interesie. Nie tylko terytorium decyduje o miejscu i prestiżu danego kraju na świecie i pomyślności jego obywateli. Natomiast spory terytorialne, jak to w historii, a w stosunkach polsko-ukraińskich szczególnie często bywało, decydowały o czymś znacznie ważniejszym - o tragicznym losie całych pokoleń.

W końcu i Niemcy nasze obecne ziemie zachodnie zamieszkiwali od wieków uznając je za swoje rodzinne miejsce. Dla nich Wrocław czy Szczecin, to jak dla nas Iwów czy Stanisławów. Mimo tego domagamy się od nich uznania powojennego status quo i tylko na tej bazie jesteśmy skłonni regulować dobrosąsiedzkie stosunki. Również i Ukraina, wydarta z sowieckiej niewoli, granicząca z Polską granicami wyznaczonymi po wojnie, będzie skłonna przekreślić wielowiekowe animozje i pamięć o wzajemnej wrogości i przystąpić do współpracy w imię wolnej od sowieckiej dominacji Europy Środkowej.

Aby to jednak nastąpiło, a sądzimy, że proces ten będzie niezwykle powolny, te dwa sąsiadujące narody muszą się dobrze poznać i zrozumieć, że tym razem powinny prowadzić walkę nie przeciw sobie, lecz toczyć ją ze wspólnym, tak samo groźnym dla obu - wrogiem. Naród ukraiński powoli, ale konsekwentnie budzi się z politycznego uśpienia i coraz głębiej zaczyna upominać się o swoje prawa do narodowego bytu.

Książka pt. "UKRAINA 1956-1968" jest w zasadzie zbiorem relacji, listów więźniów ukraińskich /wysyłanych z więzienia/ skazanych za publiczne napiętnowanie brutalnych

tendencji rusyfikacyjnych. Te listy-grypsy pisane są przez różnych ludzi - poetów, intelektualistów, malarzy, nauczycielki, a także przez robotników. Wspólnym przekonaniem ich autorów jest prawo narodu ukraińskiego do własnej poezji, literatury, kultury, do własnego języka w którym powinny uczyć się ich dzieci. Tymczasem wokół siebie zauważają działalność sprzeczną z konstytucją i prawodawstwem republiki ukraińskiej. Wszystkie ważniejsze stanowiska w republice są obsadzone przez obcych, język ukraiński jest traktowany jako język tubylczy, panoszy się szowinizm rosyjski, a każdy protest, którego źródłem jest obrona godności własnego narodu, traktowany jest jako działalność antysowiecka, zmierzająca do oderwania Ukrainy od ZSRR. Procesy, wzmiankowane w książce, odbywały się przy drzwiach zamkniętych, a oskarżeni w nich otrzymywali wysokie wyroki, odbywane w obozach pracy przymusowej, przeważnie w Mordwinii, gdzie na dalekich rubieżach Rosji.

W latach 30-tych Ukraina, jak i zresztą Rosja, była opanowana strachem. Ten strach był tak wszechogarniający, że paraliżował nie tylko ciało, ale i myśli. Komunizm stalinowski zbudował społeczeństwo mrówek, które poddawało się bez oporu centralnemu sterowaniu. Rozstrzelania w trzy dni po aresztowaniu, zagadkowe zniknięcia w nocy, kary śmierci za niewykonanie normy, Kołyma z której nikt nie powracał, to były fundamenty, na których Stalin budował imperium strachu. Mózg przedstawiał samodzielnie myśleć i posługiwał się tylko takimi kryteriami i ocenami, które otrzymywał z zewnątrz. Rzeź na Ukrainie w latach trzydziestych, zagłodzenie kilku milionów ludzi, przesiedlenia całych narodów, nie udałyby się Stalinowi bez zbudowania przedtem imperium strachu. Po jego śmierci i pamiętnym referacie Chruszczowa strach powoli zaczął ustępować. Przełamana została bariera strachu. I jak twierdzą więźniowie ukraińscy - został dokonany wyłom, którego już nikt i nigdy nie zdoła zasypać ani wypełnić. Gdy minął wszechogarniający strach zaczęła powstawać samodzielna myśl. Tak to relacjonuje jeden z aresztowanych: "Przy aresztowaniu zabrano u mnie wiersz Dracza "Bajka o skrzydłach". Zapytałem o co chodzi. Wiersz ukazał się w druku, a co do samego autora, to brudna bielizna dawno została wyprana, już przestali mu wymyślać, a nawet chwala. Wyjaśniono mi, że nie ma żadnych pretensji ani do wiersza, ani do autora. Ale wiersz ten został przepisany na maszynie z czyjejs własnej inicjatywy. I ten ktoś nieznanymi rozpowszechniał go, też z własnej inicjatywy. To największy grzech, człowiek zamiast przyjmować gotowe, zachowuje się samodzielnie. Można robić wszystko, ale tylko wtedy, gdy otrzymało się rozkaz. Pić wolno tylko z jednego dla wszystkich, surowo kontrolowanego, źródła z destylowaną wodą. Wszystkie inne źródła należy zasypać, chociażby woda w nich niczym się nie odróżniała". I dalej:

"Przed rozprawą sądową i po rozprawie wielokrotnie wbijano nam w głowy, że wszyscy jesteśmy potomkiem Antonenko-Dawydowycza /jeden z aresztowanych/. Z punktu widzenia kagebisty idea może być wprowadzona do mózgu jedynie i wyłącznie z zewnątrz. Więc gdy w środowisku młodej inteligencji ukraińskiej zaczął rozrastać ruch protestu przeciw przemocy i szowinizmowi, kagebiści z miejsca zaczęli szukać: Kto? Skąd to pochodzi? Kto wywiera ten wpływ?"

Celowo zacytowałem te dwa fragmenty, aby uzmysłwić, że ferment narodowościowy, na początku nieśmiały, z biegiem lat coraz mocniejszy, zrodził się z potrzeby obrony praw swego narodu, do którego się świadomie przynależy. Sygnatariusze listów więziennych przede wszystkim czują się obywatelami ukraińskimi, a dopiero później obywatelami radzieckimi. Ich wrogiem numer jeden nie stał się jeszcze ustroj, bo często na jego założenia się powołują, cytując obficie Marksa i Lenina, ale imperializm rosyjski, który wg. nich jest przyczyną dyskryminacji i rusyfikacji Ukrainy. Nie żądają ani oderwania Ukrainy od ZSRR ani innego ustroju w swojej republice, ale domagają się prawa do autonomii kulturalnej własnego narodu. Nie zapominajmy, że okres o którym mówimy to drużna połowa lat pięćdziesiątych i lata sześćdziesiąte, gdy onozycja we wszystkich krajach Europy Środkowej była politycznie i organizacyjnie bardzo słaba. A przecież sytuacja w republikach radzieckich była znacznie trudniejsza, niż w innych krajach formalnie nie wcielonych do ZSRR.

W tym kontekście, to co się działo w tym czasie na Ukrainie musi budzić podziw przede wszystkim nas Polaków. W znacznie łatwiejszych warunkach politycznych, po pamiętnym październikowym przełomie aż do 1968 r. niezależne życie polityczne w zasadzie zamarło, gdy tymczasem na Ukrainie skazywano dziesiątki więźniów rocznie tylko dlatego, że protestowali przeciwko wypieraniu własnej mowy i kultury z ich życia.

Jesteśmy przekonani, że duch protestu przeciwko sowietyzacji życia narodowego na Ukrainie będzie się wzmacniał z każdym rokiem, a przykład Polski z ostatnich kilku lat będzie inspiracją do refleksji nie tylko narodowej ale i politycznej.

Cyryl CYWILNY

Wywiad udzielony przez Stanisława Kotowskiego, współtwórcę Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość" oraz miesięcznika politycznego "NIEPODLEGŁOŚĆ", aresztowanego 31 sierpnia 1984 r., skazanego na 3,5 roku więzienia, więźnia Rakowieckiej, Łęczycy i Barczewa, zwolnionego 13 września 1986 roku.

Pytanie: Witamy Cię Staszku na wolności. "Skorzystałeś", jak wielu innych działaczy z kiszczakowskiej amnestii. Jakie są Twoje wrażenia po kilku miesiącach spędzonych na wolności?

Odpowiedź: Na wolności - to za mocno powiedziane. Na pewno na większym spacerniaku i "opieka" nade mną jest bardziej dyskretna. W każdym razie cieszę się, że jestem w domu, nawet obserwowanym i podsłuchiwanym. Nareszcie mogłem zobaczyć syna. Wróciłem do domu dokładnie w drugą rocznicę jego urodzin. A urodził się w dwa tygodnie po moim aresztowaniu... Mogę odwiedzać przyjaciół, spotykać się z nimi. Także to, że mogę dzisiaj z wami rozmawiać... A więc ~~same~~ plusy.

P.: Wrócić może do okresu sprzed dwóch lat. Jak się czuje człowiek aresztowany przez SB?

O.: Nie jest to przeżycie przyjemne, ale na pewno do wytrzymania. Zostałem zasypany przez współpracownika, kierowcę aresztowanego podczas przewożenia sprzętu poligraficznego. Ubecja przyszła po mnie, tak jak zwykle to robi, z rana. Spodziewałem się tej wizyty i szykowałem się właśnie do ucieczki z domu i zejścia do podziemia. Nie zdążyłem, niestety. Po rewizji w domu i na działce, przewieziono mnie do Pałacu Mostowskich. Dwie noce w piwnicy - dla zmiękczenia. A potem Rakowiecka i już "normalne" więzienne życie - przesłuchania, zachęty, pogroźki, później sprawa i wyrok. Mój kierowca - Andrzej Karpiński sypał w śledztwie. Akt oskarżenia oparty był prawie w całości na jego zeznaniach. W nagrodę nie siedział ani jednego dnia, mimo, że skazany został na 1,5 roku więzienia.

P.: A więc bezpieka doceniła wagę Twojej osoby pozostawiając go na wolności, aby za tę cenę Ciebie wsadzić. Poza tym, byłeś chyba jedynym, któremu sąd najwyższy podwyższył wyrok.

O.: Tak, z tej strony spotkało mnie uznanie - nawet przesadne. W końcu przez pewien czas "liderowałem" w długości wyroku, a przesiedziałem praktycznie od amnestii do amnestii. Wyższy od mojego wyrok miał tylko Leszek Moczulski, a taki sam Władek Frasyniuk - towarzystwo to przynosi mi zaszczyt. Ale z drugiej strony wyniki miałem też niezłe i bezpieka to doceniła.

P.: Siedziałeś dwa lata, a mogłeś spędzić w więzieniu jeszcze półtora roku. Dla młodego człowieka to długi okres wyrwany z życiorysu.

O.: Niezupełnie wyrwany. Od czasów Różańskiego, Fejgina i Duszy pensjonat przy ul. Rakowieckiej 37 stracił wiele ze swoich "uroków" i "atrakcji". Tym niemniej sytuacja więźniów politycznych, choć znośniejsza niż innych kategorii więźniów, budziła protesty. Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że czerwonemu nie idzie o to, aby nas izolować, ale o to, aby nas upodlić, zeszmacić. Stąd główne represje skierowane były na sferę psychiczną. Przy pozorach niezłej sytuacji bytowej - np. nie było głodu. Świadomi, o co toczy się walka mogliśmy odpowiednio się ustawić. Koniecznie trzeba wiedzieć, że najgorsze są początki, pierwsze trzy miesiące. Później więzienie już nie działa. Jeśli ktoś przetrzyma pierwszy okres, to ma duże szanse wytrwać do końca. Najważniejsza rzecz, to zorganizowanie sobie czasu. Ja, na przykład przez ten czas zdołałem uzupełnić braki w lekturach z klasyki europejskiej. "W poszukiwaniu straconego czasu" mogłem przeczytać dopiero w więzieniu - bo właśnie miałem na to czas. Udało mi się także opanować język angielski - to także jest plus. A największym może sukcesem jest to, że się sprawdziłem. Ani w śledztwie, ani w więzieniu nie zdołano mnie zeszmacić. Ba, więzienie hartuje. To jest truizm, ale ciągle aktualny.

No i poznanie wspaniałych ludzi. Jak wiecie, przesiedziałem w Barczewie ponad rok w jednej celi z Bogdanem Lisem - we dwójkę na 7 m² i w ścisłej izolacji. Takie więzienie wewnątrz więzienia. Bardzo dobrze wspominam ten okres. Wiele skorzystałem z prowadzonych z Bogdanem dyskusji, sądzę, że z wzajemnością. Jestem przekonany, że obaj nie zmarnowaliśmy tego czasu. Po zwolnieniu Bogdana spędziłem mniej więcej miesiąc z Adamem Michnikiem. To było wspaniałe przeżycie intelektualne. Mimo paskudnych warunków zewnętrznych. Nazwać ten okres zmarnowanym - niepodobna. Miałem możliwość wzbogacenia się o nowe doznania, przemyślenia spraw zasadniczych i skonfrontowania swoich poglądów z poglądami takich wspaniałych ludzi jak Bogdan i Adam. Wątpię, czy miałbym ku temu okazję nie przechodząc szlaku - Pałac Mostowskich - Rakowiecka - Łęczycza - Barczewo.

P.: Jak oceniasz sytuację polityczną po dwóch latach nieuczestniczenia w życiu publicznym? Jakie porównania wobec tej z 1984 r.?

O.: Różnica jest znaczna. W 1984 r. miała miejsce poprzednia amnestia. Wyszli z więzień niemal wszyscy i przez krótki czas wydawało się, że będą mogli działać jawnie. Władza szyb-

ko położyła kres tym złudzeniom. Ja znalazłem się w celi na Rakowieckiej w miesiąc po lipcowej amnestii z perspektywą dłuższej odsiadki za działalność, za którą dziś pewnie bym zapłacił grzywnę i posiedział 48 godzin. Nie jest to, rzecz jasna, wynikiem wspaniałomyślności reżymu, lecz trudności przed którymi stanął. Trudności ekonomicznych, ostracyzmu w stosunkach międzynarodowych, ale także trudności z pokonaniem ruchu opozycyjnego. Dzięki temu powoli wybijamy się na jawność nie tracąc zaplecza, nieznanego dla policji. W końcu gramy z szulerem, który wciąż zmienia reguły gry.

W życiu publicznym występują zjawiska pozytywne. Jednym z nich jest proces odpolitycznienia "Solidarności" prowadzący ją w kierunku normalnego związku zawodowego, czego dowodem było afiliowanie jej przez dwie zachodnie centrale związkowe: Światową Konfederację Pracy i Międzynarodową Konfederację Wolnych Związków Zawodowych. Depolityzacja "S" ma też drugą, także pozytywną stronę - krystalizowanie się grup politycznych. Obserwuję tu postęp. Powstają nowe struktury, np. Polska Partia Niepodległościowa /PPN/. Nasza partia też działa, mimo ciosów policyjnych i trudności wewnętrznych. Fakt, że mogę z wami rozmawiać bez pośrednictwa grypsów więziennych też jest optymistyczny.

Oczywiście mówię tu o działalności politycznej, czy ogólnie publicznej. Większość społeczeństwa, jak mi się wydaje, jest dość daleka od polityki. Jest zmęczona, może zniechęcona. W końcu klęskę "Solidarności" w grudniu 1981 roku 10 milionów Polaków przyjęło jako osobistą porażkę. Ta apatia społeczeństwa to największe zagrożenie, a jednocześnie wyzwanie dla działaczy politycznych.

P.: Jak, na tle działalności innych grup, oceniasz nasz wspólny dorobek?

O.: Biorąc pod uwagę start w styczniu 1982 roku praktycznie od zera, nienawiązywanie do tradycji solidarnościowej, ba, krytyczny do niej stosunek, polemiczną zadziorność i rażący rozsądny radykalizm to wyniki są znakomite. Przez długi czas byliśmy jedynym chyba miesięcznikiem politycznym głoszącym liberalizm filozoficzny i ekonomiczny, skojarzony z radykalnym programem niepodległościowym. Byliśmy na tyle oryginalni, że tradycyjny establishment opozycyjny miał duże kłopoty z zaszufładkowaniem nas. "Nazwa i winieta miesięcznika "Niepodległość" może mylić - napisał w "KONTAKCIE" / nr 1/21, styczeń 84, str. 18 - red. "N" / Bronisław Wildstein - pismo to nie jest organem grupy o orientacji nacjonalistycznej". Miarą, naszego także, sukcesu niech będzie fakt, że obecnie ani winieta z orłem, ani akcentowanie niepodległości w nazwie nie kojarzy się już zapewne nikomu z nacjonalizmem i szowinizmem. Ugrupowanie polityczne o orientacji demokratycznej i niepodległościowej to dziś żaden ewenement. Chętnych do wydawania pisma pod nazwą "Niepodległość" także by nie zabrakło. Myślę, że jest w tym także nasza zasługa. Spełniliśmy rolę kamienia, który poruszył lawinę. Sądzę, że to co do tej pory zrobiliśmy wystawia nam dobre świadectwo. Bardzo się cieszę, że mimo niesprzyjających okoliczności udało się utrzymać ciągłość wydawania pisma przez całe pięć lat wojny. O ile dobrze mi wiadomo, "NIEPODLEGŁOŚĆ" jest jedynym krajowym pismem politycznym wydawanym równocześnie zagranicą. Jestem bardzo zadowolony mogąc pogratulować wam tych osiągnięć. Tak trzymać dalej... choć rozumiem, że zwłaszcza ostatnie dwa lata dały wam nieźle w kość i jesteście zmęczeni.

Reasumując: Na tle innych ugrupowań nie mamy się czego wstydzić. Uważam, że wnieśliśmy znaczący wkład na głównym "froncie" konfrontacji z komunizmem, o świadomość społeczeństwa. Fakt, że poglądy głoszone przez nas przed pięciu laty stały się własnością powszechną świadczy, że cel jaki sobie stawialiśmy rozpoczynając wydawanie "NIEPODLEGŁOŚCI" w styczniu 1982 roku udało nam się zrealizować. I to jest chyba najważniejsze.

P.: Czyżby więc same sukcesy?

O.: Żartujesz chyba. W bilansie pięciu lat dostrzegam więcej cieni niż blasków. Przede wszystkim nurt niepodległościowy nie zdołał jeszcze osiągnąć należnej mu pozycji, zwłaszcza na zewnątrz. Również dojrzewanie polityczne polskiego podziemia, formułowanie programów, tworzenie partii - wszystko to nie jest dostatecznie zaawansowane. Powstające ugrupowania nie mogą się pozbyć zakodowanej w podświadomości bolszewickiej mentalności. To czasami wychodzi na wierzch mimo werbalnych deklaracji o demokracji, tolerancji, liberalizmie. Z przykrością stwierdzam, że takie sytuacje spotkałem i w naszych szeregach. Ale z drugiej strony odsowietyzowanie umysłu to nie jest wcale sprawa prosta. W tej materii czeka nas jeszcze wiele pracy.

O ile zdołałem się zorientować, gnębnią nas powszechnie dla całej opozycji kłopoty. Wynikają one ze "zmęczenia" pięcioletnią już wojną. Starzy, sprawdzeni i doświadczeni działacze wykruszają się. Nie bardzo jest ich kim zastąpić. Jeśli nawet znajdzie się ktoś nowy, dotychczas nieaktywny opozycyjnie, to z reguły brak mu umiejętności, doświadczenia i autorytetu. "Zmęczone" jest także społeczeństwo. Ma to swoje bolesne skutki. Kurczy się podziemna infrastruktura /mieszkania, punkty kontaktowe, magazyny/, spada zainteresowanie działalnością opozycji. Dowodzi tego choćby spadek zainteresowania pod-

ziemnymi periodykami. Można by powiedzieć, że coraz mniej zaangażowanych i sympatyków a coraz więcej biernych obserwatorów. Siłą rzeczy powoduje to zawężenie możliwości oddziaływania opozycji na społeczeństwo. Dotyczy to także i nas. Spadek nakładu związany z podanymi powyżej przyczynami jak i z dramatycznym brakiem pałacu, bardzo mnie martwi. Musimy zrobić wszystko, by go odbudować. Jeszcze bardziej martwi mnie sytuacja w LDP"Ni". Postępowanie części działaczy doprowadziło do faktycznego rozłamu w partii. To na pewno nasza największa porażka.

P.: Przejdźmy jednak do spraw ogólniejszych. Na czym ma polegać według Ciebie działalność opozycji po amnestii? Czy należy zmienić dotychczasowe metody?

O.: Niezmienna zasada polityki to dostosowywanie postępowania do okoliczności. Nasz cel zasadniczy - wpływanie na poglądy osób zainteresowanych problematyką polityczną - nadal jest aktualny. Stale aktywna może być tylko niewielka część społeczeństwa. Od tego co ludzie ci będą reprezentowali, jaki będzie stan ich świadomości zależy bardzo wiele - przyszłość wszystkich ruchów politycznych. Z tego punktu widzenia stosowane obecnie metody, tj. głównie działalność publicystyczna, oświata niezależna, formowanie się głównych nurtów politycznych poprzez działalność programową i organizacyjną uważam za sprawdzone i niezbędne. Strategicznym celem demokratycznego nurtu niepodległościowego powinno być okrzepnięcie i wyjście na zewnątrz.

Należy wszakże pamiętać, że najbardziej aktywni dobiegają dziesięciu i więcej lat opozycyjnego stażu. Są doświadczeni, dojrzały, "ostrzelani" i... zmęczeni. Potrzebny jest im odpoczynek dla nabrania sił - pieredyszka - jak mówią Rosjanie. Tym niemniej fakt, że po tylu latach zmagani zdołaliśmy zachować podstawowy potencjał "bojowy", że nie zdołano zmusić nas do kapitulacji, że właściwie jakby zawieramy pewien rozejm to nasz duży sukces.

Ważną sprawą, nie dostrzeganą dotychczas przez większość opozycyjnych działaczy jest kwestia kontaktów ze stronnictwami politycznymi na Zachodzie. Ugrupowania socjaldemokratyczne powinny mieć dobre kontakty z Międzynarodówką Socjalistyczną, przeciwdziałając tam antyopozycyjnym machinacjom i stopując inicjatywy w rodzaju wizyty Brandta, liberałowie z podobną organizacją konserwatywno-liberalną, agrariusze z partiami chłopskimi. Wzmacniałoby to suwerenność polskiego społeczeństwa na Zachodzie, uniemożliwiając reprezentowanie nas tam przez komunistów. Nieocenione zasługi na tym polu posiada Biuro "Solidarności" w Brukseli. Zajadłość z jaką atakowany jest szef tej placówki Jerzy Milewski - świadczy o potrzebie rozszerzenia tego typu działań na inne, niż związkowe, obszary.

Ogólnie, dotychczas stosowane metody oceniam pozytywnie. One się po prostu sprawdziły. Jest rzeczą niesłychanie ważną, aby samemu wybierać pole konfrontacji. Na polu walki o prawdę historyczną, o prawdę w ekonomii, o prawdę ludzkich potrzeb duchowych jesteśmy górą. Tu przegrać nie powinniśmy. Zupełnie inaczej wygląda to na obszarze konfrontacji siłowej. Nie mamy tam czego szukać. Przecież reżym posiada więcej czołgów, pałek i więzień. Dlatego też uważam, że podejmowanie działań takiego typu jak próba ataku ulotkowo-gazowego na komunistyczny pochód 1-majowy jest poważnym błędem. Jest to błąd trójki rodzaju. Po pierwsze - nie uważam, by przynosiło chlubę obrzucanie czymkolwiek pokojowej manifestacji, nawet komunistycznej. W końcu osoby, które w niej wzięły udział mają do tego pełne prawo, tak jak my mamy prawo do naszych manifestacji... Po drugie - jest to sprzeniewierzenie duchowi naszego programu. W trakcie dyskusji nad nim wyjaśnialiśmy, że w Wolnej Polsce powinny móc działać wszystkie ugrupowania polityczne, także komuniści /"N", nr 28, IV.84, str. 22 - red. "N"/. Ciekawe, jak nasi "gazownicy zachowaliby się, gdyby to oni usiedli w fotelach rządowych? Czy wtedy uważaliby że także i komuniści mają prawo do istnienia i działalności politycznej, czy też odmówiliby im i jednego i drugiego. W każdym razie, działania takie jeśli prowadzą do czegoś, to do podważenia naszej wiarygodności w oczach krajowej i zagranicznej opinii. Po trzecie - umożliwiają komunistom przywoływanie, zupełnie bezpodstawnie przykładów "Rote Armee Fraction" czy "Action Direct". Ma to bardzo zły dla nas wydźwięk międzynarodowy, a najgorszy akurat wśród tych, którzy nas popierają. Taka koncepcja działalności politycznej świadczy o nieodpowiedzialności - jeśli nie o czymś gorszym.

Może sformułowania, które tu wypowiadam są zbyt ostre, uważam je jednak za adekwatne do tego nieodpowiedzialnego posunięcia. Konsekwencje tej nieodpowiedzialności ponosimy my wszyscy, choć najprzykrzejsze dotknęły bezpośrednich wykonawców, więzionych nadal mimo "pełnej" amnestii, pod absurdalnym zarzutem terroryzmu. Musimy apelować do środowisk niezależnych w kraju i do naszych przyjaciół na Zachodzie o maksymalną presję w celu ich uwolnienia. Za swoją głupotę zapłacili już dostatecznie. Podkreślam jeszcze raz: jestem zdecydowanym przeciwnikiem metod, które starali się zastosować, lecz to są więźniowie polityczni, a nie terroryści.

Podsumowując pięć lat naszej działalności, sądzę, że cele jakie sobie stawialiśmy zostały aktualne. Zarówno całe minimum - wpływania na świadomość społeczeństwa jak i

cel maksimum - odzyskanie niepodległości. Nie zgadzam się z tymi, którzy głoszą, że dotychczasowa formuła opozycji zbankrutowała, że potrzeba czegoś zupełnie nowego, jakichś cudownych metod. Nie ma i nie będzie cudownych metod. Pozostaje tylko żmudna praca, niebezpieczne działania, balansowanie na pograniczu legalności i aresztowania. Cele też nie ulegną zmianie. Bez formułowania celu maksymalnego zgubilibyśmy kierunek działań. Ten cel jest naszą busolą. A na codzien pozostaje cel minimum - docieranie do Czytelników, przekonywanie ich o słuszności naszego programu, naszych idei, zdobywanie zwolenników i uczestników. Gdy zrealizujemy cel minimum okaże się, że cel nadrzędny nie jest aż tak odległy.

10 grudnia 1986

REALIZM PO POLSKU

Istniejące w polskiej opozycji różnice programowe, taktyczne czy organizacyjne traktuje się najczęściej jako zło konieczne, a nie jako stanowiącą samodzielną wartość emanację pluralistycznego społeczeństwa. Najdobitniej pogląd taki głoszą publicyści "POLITYKI POLSKIEJ" formułując, za Dmowskim, postulat jednej i tylko jednej, godnej tego miana polityki polskiej. Wielokrotnie polemizowaliśmy z takimi poglądami; obecnie chcielibyśmy się zająć tą kwestią szerzej.

Od dwustu siedemdziesięciu, a na pewno od dwustu lat, warunki polityczne w jakich przyszło żyć nam Polakom są, z krótkim interludium dwudziestolecia międzywojennego, nie do zaakceptowania. Ta nieakceptacja wyraża się, najogólniej mówiąc, poprzez dwie postawy, jakie co najmniej od sześciu pokoleń Polacy przejawiają wobec politycznych i społecznych realiów istniejących w naszym kraju. Są to postawy: bezkompromisowa, odrzucająca porozumienie z "zaborcami" oraz ugodowa. Praktyka dwustu już co najmniej lat pokazała, że mrzonkami są próby sprowadzenia tych postaw do wspólnego mianownika. Nie było, nie ma i nie będzie jednej polityki polskiej. Były, są i będą przynajmniej dwie. Bezkompromisowa i ugodowa - czy też wg. częściej stosowanej nomenklatury - realistyczna i romantyczna. Ponieważ wydaje się nam, że z powyższymi terminami wiąże się wiele nieporozumień, za konieczne uważamy zdefiniowanie tych pojęć.

Postawa r o m a n t y c z n a z realiami się nie liczy, liczy natomiast siły na zamiary, cele polityczne formułuje metodą pobożnych życzeń, w publicystyce posługuje się nie argumentami a "zaklęciami" i zamawianiem rzeczywistości, kocha się w działaniach symbolicznych i uwielbia myślenie magiczne.

Postawa r e a l i s t y c z n a swoje cele polityczne próbuje w jakiś sposób skonfrontować z realiami, od których, mimo że nie akceptowanych, trudno przecież abstrahować. Na tej drodze rozpoznaje co jest możliwe do osiągnięcia, co zaś stanowi, czasami piękną, szlachetną, słuszną, zawsze jednak nierealistyczną mrzonkę.

Spróbujmy na początek rozeznac, bez złudzeń i zbędnego samooszukiwania się, realia peerelowskiego "realnego socjalizmu":

Po pierwsze: realia polityczne zewnętrzne, to nieistnienie państwa polskiego, a także państw narodów sąsiednich, to sytuacja dysponującej pewną autonomią formalną prowincji totalitarnego Imperium, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Po wtóre: realia polityczne wewnętrzne to omnipotencja totalitarnej partii oprowadzającej od wewnątrz każdą strukturę organizacyjną /od państwowej do hodowców kanarków/ lub bezlitośnie ją niszcząca /od "Solidarności" do Rady Wydziału Wyższej Uczelni/ z jednym jedynym, jak do tej pory, wyjątkiem - Kościoła Katolickiego - - choć starania o jego "pimenizację" ciągle trwają.

Po trzecie: realia gospodarcze to scentralizowana, "państwowa", nieracjonalna, dogmatyczna ekonomia, w świetle dotychczasowych, prawie czterdziestoletnich, doświadczeń niereformowalna; wszelkie zaś "zielone" światła, czy to dla rzemiosła czy dla rolnictwa, to tylko wymuszone i w założeniu odwoływalne odchylenia od socjalistycznej normy.

Po czwarte: realia społeczne - to psychiczne odrzucenie przez znaczną część społeczeństwa przedstawionych powyżej realiów politycznych, przy jednoczesnym przystosowaniu się do nich w praktyce; to brak świadomości, że obecny kryzys jest wynikiem doktryny ekonomicznej i politycznej nie zaś owocem błędnego, lub nieudolnego zarządzania, czy też złodziejstwa i ekonomicznej eksploatacji przez ZSRR: to wreszcie postępująca, choć w znacznym stopniu odrobiona w okresie "Solidarności", sowietyzacja społeczeństwa polskiego.

Wreszcie realistyczne wydaje się być przekonanie, że społeczeństwo polskie nie pogodzi się w dłuższym okresie czasu z brakiem niepodległości, oraz że warunki zewnętrzne i wewnętrzne w takich okolicznościach nie będą sprzyjały odwróceniu tego stanu.

nawet Imperia zawsze kiedyś upadały, upadnie więc także i to, które nas niewoli.

Wszyscy ci, którzy dążą do porozumienia z totalitarną władzą licząc, że zrezygnuje ona z części swoich atrybutów:

- czy to w polityce wewnętrznej - poprzez dopuszczenie istnienia niezależnych od siebie organizacji nawet tak niepolitycznych jak samorządne związki zawodowe, stowarzyszenia twórcze czy samorząd akademicki;
- czy to w "państwie" - poprzez dopuszczenie ograniczonej choćby "kontroli" społeczeństwa nad policją, wymiarem sprawiedliwości, szkolnictwem, administracją regionalną;
- czy to w gospodarce - poprzez dopuszczenie do istnienia prawdziwego samorządu w przedsiębiorstwach, zapewnienie prawnych gwarancji dla inicjatywy prywatnej, zagwarantowanie równego traktowania sektora indywidualnego w rolnictwie;
- o polityce sensu stricto nawet nie wspominając;

z realizmem politycznym na pewno niewiele mają wspólnego. Reprezentują natomiast klasyczną postawę "romantyzmu" w polityce.

Ci zaś, którzy peerel traktują jako prowincję Imperium, którzy komunistyczny system polityczny i gospodarczy postrzegają jako niereformowalny, którzy odrzucają sowiecki system wartości; ci, którzy postulują zmianę warunków politycznych, w których żyjemy, sprowadzającą się do:

- odzyskania przez kraje Europy Środkowej /w tym Polskę/ niepodległości;
- współpracy politycznej i gospodarczej tych państw, czy to w formie federacji, czy też konfederacji;
- reformy politycznej i gospodarczej instalującej w tych krajach rozwiązania demokratycznego kapitalizmu;

ci wreszcie, którzy cele te zamierzają osiągnąć nie poprzez walkę zbrojną lecz poprzez przygotowanie społeczeństwa do wykorzystania sprzyjających okoliczności w momencie kiedy powstaną, obecnie zaś prowadzą działalność wpływającą na świadomość społeczeństwa i przeciwstawiającą się sowietyzacji umysłów;

ci wszyscy reprezentują nurt realistyczny w polityce polskiej.

I nie jest to żaden paradoks. Przyzwyczajeni jesteśmy wprowadzić do identyfikowania romantyzmu w polityce z radykalizmem, realizmu zaś z ugodowością - jest to jednak nieścisłe, co najmniej od początku XX wieku. I tak, kreowany przez ugodowców na czołowego reprezentanta realizmu w polityce polskiej Roman Dmowski stawiał na porozumienie z Rosją po 1905 roku, na jej zwycięstwo w I wojnie, przewidywał zakładanie się systemów demokratycznych, propagował politykę asymilacyjną w stosunku do mniejszości w odrodzonej Polsce. Jeżeli to ma być polityka realistyczna, to tylko przy założeniu, że Dmowski w swoich próbach pomylił wojny I-szą z II-gą, i że miał na myśli powstanie peerelu.

Z drugiej strony, notorycznie pomawiany o romantyzm w polityce, Józef Piłsudski to polityk, który okazał się realistą nie tylko w swoich sukcesach /prawidłowo ocenił układ się w przededniu I wojny światowej/ ale i w klęskach /szusne acz nieskuteczne forsowanie programu federacyjnego/.

Tym, którzy chcieliby nadal kwestionować naszą typologię radykalnych i ugodowych odłamów polskiej opozycji, przypomnijmy jeszcze z jednej strony "osiągnięcia" nurtu ugodowego w kolejnych polskich przełomach - w październiku 1956 roku, w roku 1970, w okresie "Solidarności", czy wreszcie ostatecznie; z drugiej zaś rezultaty otwartego wyzwania rzuconego komunistom poprzez powstanie demokratycznej opozycji w latach 1976-7.

Wszystko wskazuje na to, że obie tendencje w polityce polskiej inaczej zareagują na amnestyjne manipulacje czerwonych. Spodziewamy się, że przyczyni się to do ostatecznego wykrystalizowania się dwóch nurtów polskiej opozycji - bezkompromisowych, antykomunistycznych, niepodległościowych "realistów" z jednej strony i biurokracyjnych życzenia za rzeczywistość, ugodowych "romantyków" z drugiej.

W tym sensie 11 września 1986 roku okazać się może jedną z trzech najważniejszych dat w historii naszego pokolenia - obok 23 września 1976 roku - daty powstania KORu i 13 grudnia 1981 - daty powstania WRONu. Może okazać się datą ponownego pojawienia się wykrystalizowanego ostatecznie nurtu niepodległościowego - nurtu różnorodnego ideowo /od prawicy do lewicy/ i organizacyjnie /od partii do grup post-solidarnościowych/ lecz złączonego wspólnym celem: niepodległą, demokratyczną /kapitalistyczną/, sfederowaną z sąsiadami Polską.

Artur WIECZYSTY

FELIETON OBSERWATORA: PRZECIWIW TOLERANCJI

Istniała niegdyś opinia, iż Polska jest krajem ludzi tolerancyjnych. Ostatnio zastąpiła ją inna, głosząca, iż nietolerancja jest największą wadą Polaków. Do tolerancji wzywają więc wszyscy. Urban wzywa do tolerancji Kościół, Sandauer i Passent literatów, minister kultury artystów, opozycjoniści partię, zaś partia opozycjonistów.

W opinii powszechnej nietolerancji zagalopowano się tak daleko, jak niegdyś w opinii o Polsce - kraju złotej wolności i tolerancji. Obie te opinie uważam za nieprawdziwe, jeżeli głosić je będziemy w formie skrajnej. Istnieją wszakże obszary życia publicznego, na których Polacy wykazują się wręcz bezprzykładną tolerancją. Chodzi mi głównie o tolerowanie działań i postaw, wydawałoby się już wielokrotnie skompromitowanych. Te "kompromitujące" postawy jakoś nikogo nie kompromitują, a przeciwnie nobilitują.

Niezależna opinia publiczna jest jednomyślna w swym krytycznym stosunku do polityki PZPR. A jednak przynależność do tej partii nikogo w oczach tej opinii nie kompromituje. Przeciwnie, odejście z PZPR jest uważane za akt odwagi i niezależności myślenia. W życiorysach wybitnych opozycjonistów podkreśla się często fakt ich dawnej przynależności do partii, nie w celu ich potępienia, lecz dla podkreślenia śmiałości działań i myśli. Wobec osób, które nigdy nie należały do PZPR mają oni tę przewagę, że te ostatnie nie wykazały się odwagą oddania legitymacji partyjnej, skoro jej nigdy nie posiadały.

Podobnie jest z ludźmi uczestniczącymi w instytucjach komunistycznych /sejmie, radzie państwa, itp./ jako tzw. niezależni działacze. Ich tam obecność jest przez większość opinii publicznej tolerowana, zaś wszelkie wystąpienia, świadczące o niezgadzaniu się z linią PZPR podkreślane są jako akty nadzwyczajnej odwagi.

Niezależna opinia publiczna jest ogromnie tolerancyjna wobec działań, nie tylko moralnie dwuznacznych, ale również nieskutecznych. Niektórzy politycy, czy ogólnie ludzie działający publicznie przez kilkadziesiąt lat, trzymają się jednego kierunku postępowania, idąc na daleko idące kompromisy z komunistami, kompromisy, które często stają się kompromitacją, nie uzyskują przez to niczego, lecz opinia publiczna nie ma im tego za złe. Natomiast każdego neofitę opozycji wita się z otwartymi rękoma, nie pamiętając o tym, że jeszcze kilka lat temu opluwał wrogów komunizmu. Czyż jest drugi tak tolerancyjny naród?

Władzom niespodziewanie trudno przychodzi montowanie tzw. rady przy radzie państwa. Istnieją poglądy, że niektórzy działacze opozycji umiarkowanej wahają się, czy zgłosić akces do rady, bojąc się kompromitacji. Te wahania dobrze o nich świadczą, lecz ja jestem spokojny o to, że nikogo nie skompromituje przynależność do rady. Opinia publiczna będzie, jak zwykle, ogromnie tolerancyjna wobec członków tego sztucznego tworu. Dokonany zostanie podział członków rady na rządowych i niezależnych. W stosunku do pierwszych przynależność będzie dowodem na dyspozycyjność wobec władz. Drugim nie obciążą wcale moralnego konta. A jeżeli któryś z członków rady przy radzie państwa po jakimś czasie wystąpi z niej, zmęczony beznadziejnością tej instytucji nie zostanie mu to poczytane za przyznanie się do błędu, lecz jako akt odwagi i niezależności. W swym życiorysie politycznym lata stracone na działalność w radzie wpisane zostaną na konto "mą".

Działalność "umiarkowanej opozycji" od lat rowtarzającej wobec władzy te same manewry, kolaborującej z nią, a następnie wycofującej się z tej kolaboracji i znów ponawiającej swe propozycje, opiera się na tolerancji Polaków. A więc jesteśmy jednak narodem tolerancyjnym.

OBSERWATOR

NOTATNIK ARKADYJSKI:

XIII. TĘPY APARATCZYK CZY SZCZwany LIS?

Stan środowiska naturalnego w Polsce jest alarmujący!!! "Pod względem zanieczyszczenia powietrza Polska znalazła się na pierwszym miejscu w świecie. Przekroczono jest progowe zanieczyszczenie lasów. Nasycenie gazami, pyłami, związkami chemicznymi wielokrotnie przekracza dopuszczalne normy. Kurczą się zasoby czystej wody - rzeki i jeziora zanieczyszczone są chlorkami, siarczanami i metalami ciężkimi. Jedynie 1% wód należy do I-szej klasy czystości/przed 5 laty takich wód było jeszcze 10%, 49% długości rzek jest poza wszelkimi kwalifikacjami. Skazone są gleby. Nieprzemyślane inwestycje przemysłowe powodują zanieczyszczenie nielicznych już, w pełni czystych, obszarów. Ponad 35% ludności żyje na terenach, gdzie zatrucie przekracza dopuszczalne normy." /"TKK" "O POPRAWĘ WARUNKÓW ŻYCIA I PRACY" - "TM", nr 175 z 2.VII.1986, str. 3/.

Interesujące, co na temat dokładającej się do katastrofy gospodarczej, katastrofy

ekologicznej - bo tak jednak trzeba nazywać to, co się obecnie w Polsce dzieje - mają do powiedzenia zainteresowani decydenci. Posłuchajmy wiceministra ochrony środowiska i zasobów naturalnych, profesora doktora habilitowanego Waldemara Michny.

/patrz "Nie ma spraw ważniejszych..." - wywiad Marka Zdanko, "ZA I PRZECIW" nr 29/1524 z 20.VII.1986, str. 12-13/:

"Polska jest krajem, w którym - jak w innych krajach europejskich, występują określone, duże, a czasem bardzo duże zagrożenia ekologiczne. I o tych zagrożeniach możemy rozmawiać. Natomiast nie widzę podstaw do umieszczania Polski na jakiejś czarnej liście./.../ To są zjawiska, które występowały, lub występują we wszystkich krajach Europy. Koszty cywilizacji. A może nawet nie cywilizacji. Szacuje się, że już dziś, bez żadnych inwestycji możnaby zmniejszyć zapylenie o dalszych 30%. To tylko kwestia starannej eksploatacji urządzeń, rzetelności zawodowej, świadomości i wyobraźni. Urządzenia techniczne są - zawodzą ludzie. To oni są winni. A w ogóle cały ten alarm jest nie tylko niepotrzebny, co szkodliwy bo "prowadzi do entropii narodu". Entropia zaś, jak wiadomo, to brzydka rzecz.

Zresztą "dały sobie radę kraje, które były bardziej zagrożone, dany sobie radę także my./.../ Kraje, które wcześniej od nas rozwijały się wcześniej były zagrożone i wcześniej osiągnęły poprawę." I my także dany sobie radę na pewno. "Do 1990 r. zamierzamy: zmniejszyć poważnie opad pyłów, zahamować dalsze pogłębianie się degradacji wód powierzchniowych i wdrożyć pilotową technologię ograniczenia emisji SO₂." /Na marginesie: Chciałbym zwrócić uwagę panu profesorowi, że z problemami ekologicznymi jakoś sobie radzą wyłącznie kraje demokratycznego kapitalizmu i nic nie wskazuje, by prawidłowość ta uległa zmianie. - A.AQ./

Wprawdzie, jak mówił na III Kongresie Nauki Polskiej profesor Stefan Kozłowski z Instytutu Geologicznego PAN: "jesteśmy jedynym krajem, który zamierza planowo zwiększyć emisję SO₂". Jesteśmy także jedynym krajem, który nie przystąpił do tzw. Klubu 30% - członkowie jego - kraje europejskie - zobowiązały się zmniejszyć o 30% emisję SO₂. I to w sytuacji, gdy "mamy technologię, metody, brakuje tylko chęci działania i zrozumienia, że więcej tracimy, niż zyskujemy". /patrz: "PRZEKRÓJ" nr 2127 z 16.III.1986 r., "...dopędzić stracony czas", str. 5/.

No cóż, profesor Kozłowski jest zapewne tylko geologiem... i nie rozumie ważnych racji politycznych przemawiających za nieograniczeniem emisji SO₂. Te racje to w i a r y g o d n o ś ć P o l s k i. Tak, Drodzy Czytelnicy, chodzi właśnie o wiarygodność - nikt z Was nie żartuje. "Chcemy być wiarygodni - tłumaczył redaktorowi Krzysztofowi Walczakowi/"ŻYCIE WARSZAWY", 15.X.1986, str. 3, "Transfer ponad granicami"/ doc. dr inż. Janusz Żurek, dyrektor "Instytutu Ochrony Środowiska" - Bo przecież można byłoby, ze względów czysto politycznych podpisać takie zobowiązanie, a potem czynić różne manewry i mówiąc wprost - wymigiwać się od odpowiedzialności. Uznaliśmy, że byłoby to postępowanie podważające wiarygodność Polski na arenie międzynarodowej".

Nie wiem co w wywiadzie profesora-wiceministra Michny - zwłaszcza po konfrontacji jego wypowiedzi z wystąpieniem profesora Kozłowskiego - budzi większy podziw:

- niekompetencja sprowadzająca się do znajdowania przyczyn ekologicznej katastrofy w zawodności ludzi a nie w uwarunkowaniach politycznych i społecznych wynikających z naszego socjalizmu;

- skleroza przejawiająca się w przejściu do porządku dziennego nad szumnymi zapowiedziami nierowtarzania błędów krajów kapitalistycznych, także tych prowadzących do niszczenia przyrody;

- odwaga manifestująca się w zapowiedziach poprawy sytuacji ekologicznej do roku 2000, a nie w świetlanej przyszłości komunistycznej, i to w sytuacji, gdy peerel planuje zwiększenie emisji szkodliwych substancji;

- czy też może perfidia i hipokryzja.

Niewykluczone bowiem, że nasz profesor-wiceminister to nie, jakby sądzić na podstawie jego wypowiedzi, tępy aparatczyk, a szczwany lis zamierzający po leninowsku wykołować Zachód... a raczej Północ. Rzecz w tym, że tak trujemy i zapylamy Skandynawię - że Szwedzi zupełnie poważnie zastanawiają się, czy zamiast dalej likwidować swoje 30% nie byłoby korzystniej przekazać część /.../ własnych środków tym krajom, które /.../ "eksportują" swoje dymy z fabryk czy elektrowni do Szwecji "aby je oczyszczać u źródła". /patrz: "ŻYCIE WARSZAWY" z 7.VIII.1986, "Potrzebne czyste technologie"- rozmowa z dr. Williamem Dicksonem, str. 1-2/. A jak szmal już będzie, to konia z rzędem temu, kto wykryje na co poszedł. Gdyby jeszcze udało się zachęcić Szwedów czy Norwegów do zapłacenia za oczyszczanie ścieków, czyli za powstrzymanie degradacji Bałtyku.

Jeśli przyjrzeć się uważnie polityce czerwonych w ochronie przyrody, to widać gołym okiem jak skutecznie i konsekwentnie ją niszczą. No cóż - niemieckie przysłowie mówi: Hundert tausend Professoren - Vaterland du bist verloren /Sto tysięcy profesorów - Ojczyzna jesteś stracona/. Nam natomiast wystarczy jeden profesor, ale za to wiceminister.